

Nieszczęsne szczęście

Marek Jurek

notatnik

Najbardziej praktyczny skutek kryzysu modernistycznego w Kościele to dewaluacja, a w praktyce – unieważnienie Magisterium jako trwałego świadectwa i źródła wiary. W nowym podejściu jest wyrazem (emocjonalnych) przeżyć i (politycznego) życia Kościoła. Wobec dawnych wypowiedzi Urzędu Nauczycielskiego obowiązuje domniemanie przedawnienia, wsparte przekonaniem, że wszystko, co istotne, i tak znajduje się w wypowiedziach nowych. W miejsce Tradycji, jako stale wyjaśnianej i pogłębianej pierwotnej Prawdy, pojawia się wizja Kościoła definiującego się ciągle na nowo. To rodzi pragmatyzm duszpasterski, w którym nie chodzi o przekaz prawdy, ale o podtrzymywanie (i w efekcie, jak pisał kardynał Ratzinger) celebrowanie wspólnoty. Ci, którzy w modernizmie widzieli okolicznościową reakcję, mieli nadzieję, że można jego podejście wykorzystać do usunięcia przeszkód stojących na drodze radykalnej reformy Kościoła. Ale modernizm nie zadowolili się rolą prekursora nowego porządku, bo nie był polityczną czy publicystyczną doraźną reakcją, ale nowym podejściem do wiary, z zasady kwestionującym jej definitywny, więc również ustalony, kształt. Gdy reforma, która go „rozgrzeszyła”, się zestarzała – zaczęła dzielić los tego, co dawne. Wczoraj integryzmem było nawiązywanie do *Quas primas*, dziś pomału staje się nim trzymanie się zasad *Evangelium Vitae*.

Zgodnie z etyką nietzscheańską w szczęśliwym społeczeństwie ludzie nieuleczalnie nieszczęśliwi, których niedoli nie zaradzi ani państwo dobrobytu, ani nawet najlepsze antydepresanty, powinni być eliminowani, żeby nie mącili innym szczęścia. Tak rzecz wygląda w planie „normatywnym”. W praktyce sprawa jest trud-

niejsza: takie ostateczne rozwiązanie problemu nieszczęść może jednak pozostawiać nieprzyjemny osad w świadomości, a przynajmniej w podświadomości „szczęśliwych”. Szczęśliwi powinni więc – zgodnie z najlepszą receptą na ulepszanie społeczeństwa – zaczynać od siebie (nie eliminację oczywiście). Rozwiązaniem byłaby uprzednia eliminacja skrupułów, po której wszystko się staje łatwiejsze, więc i społeczeństwo – bardziej „wolne”.

W bardzo ciekawym tomie rozmów Andrzeja Werblana i Karola Modzelewskiego, zawierającym ich dialog historyczny o realnym socjalizmie i idealnej lewicy, profesor Modzelewski interesująco wyjaśnia wzajemny związek socjologiczny między obydwoma formacjami. Mówi, że ludziom identyfikującym się z systemem i (dodajmy – kolaboracyjnym) państwem łatwiej było się zbuntować. „To jest naturalne. To są ludzie, którzy mają poczucie, że są na swoim, którzy mają poczucie swojego własnego legitymizmu, nie są zastraszeni, skuleni w kątku, że ich dławi obca władza, tylko oni są, jak to się mówi po kryminalnemu, na prawie. I poza tym to są ludzie, którzy mają pewne doświadczenie organizacyjne, skłonności i umiejętności przywódcze”. To szczere wyznanie mówi znacznie więcej o genealogii dzisiejszych przeciwników prawicy niż wywody o resortowych dzieciach, przeciągane aż po odkrycie i ujawnienie, że ojciec Tomasza Sekielskiego był „zastępcą komendanta Ochotniczych Hufców Pracy i kierownikiem hotelu robotniczego”. Sekielski ma więcej za uszami niż kierownictwo ojca w hotelu robotniczym. Choć muszę się przyznać, że moja wyrozumiałość dla jego OHP-owskiej genealogii nie jest całkiem niewinna. Obok tramwajowego przystanku, który był najbliżej naszego liceum Kościuszki, znajdowała się siedziba Ochotniczych Hufców Pracy. Mieli u siebie kiosk, w którym można było kupić dobre papierosy (carmeny, caro albo nawet marlboro) na sztuki. Dla nastolatków bez pieniędzy była to wielka atrakcja, z której korzystaliśmy z zapalem. Oczywiście, wyrzuty sumienia dotyczą papierosów w liceum, bo sam kioskarz był w porządku, sabotował OHP-owski system i wykazywał się prawdziwym duchem przedsiębiorczości.

Leszek Kołakowski nie wytrwał w głoszonej przez siebie pochwalę „niekonsekwencji”. Jako przykład zgubnych następstw konsekwencji przedstawił poglądy Bossueta, de Maistre’a i Maurrasa. No i oczywiście najbardziej typową ekspozycją etycznej „konsekwencji” uczynił *Portret kata*. Z jednej strony było to zgodne z odczuciem, o którym pisał Adam Michnik: w tamtych czasach rewizjonistyczni komuniści lubili porównywać partię komunistyczną do Kościoła katolickiego, a krytykowali ją tym bardziej, im bardziej im Kościół przypominała. Kontrrewolucja jako figura kompartii świetnie z tym korespondowała. I pozwalała oczywiście kamuflować przedmiot, bo przecież Kołakowski chciał pisać o „stalinizmie”. Jednak *Portret kata* nie jest apologią ani politycznej bezwzględności, ani nawet władzy karnej. Jest po prostu stwierdzeniem jej nieuniknioności, kat jest też jej ofiarą – „żadną miarą nie da się jednak powiedzieć na przykład, że jest cnotliwy, że jest uczciwym człowiekiem, że jest godzien szacunku”. Nie ma tu moralnego patosu konsekwencji. O wiele więc właściwsze i bardziej zrozumiałe (a w takim kontekście i z taką intencją Kołakowski pisał) byłoby przytoczenie wprost ody *Czuwającym w noc noworoczną*, którą Wiktor Woroszyński napisał dla funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Takiej twórczości było więcej, ale wiersz Woroszyńskiego wydaje się literacko „najlepszy”. De Maistre pisał o konieczności zwykłych egzekucji, na pospolitych mordercach, Woroszyński – przeciwnie, z zachwytem pisał o seryjnych mordercach. A biorąc pod uwagę, że pisał to z głębokiego przekonania – byłby idealnym modelem zgubnej „konsekwencji”. Z zabiegu Kołakowskiego nie chcę mu jednak czynić zarzutu. Gdy ogłaszał *Pochwałę niekonsekwencji*, był członkiem „partii”, publikował w kraju, miał swoje ograniczenia. Nie mógł pisać wprost, więc był – w pełni zgodnie z deklarowanymi zasadami – niekonsekwentny. Sprawa przestaje być jednak tak prosta od momentu wyjazdu za granicę. Tam przecież mógłby już tekst uprościć, rozjaśnić i jednocześnie wyjaśnić, że aby z cenzurą wygrać, trzeba było z nią grać, i krótko mówiąc – mógł Wiktorowi Woroszyńskiemu zdjąć niepasującą maskę doktora kontrrewolucji. Niestety, uznał, że raz napisanego tekstu zmieniać nie należy. Uległ konsekwencji, wbrew frywolnej zasadzie, którą tak uroczyście głosił.

Galopujące konsekwencje idealizmu praktycznego: sprzeciw wobec feminizmu to kwestionowanie praw kobiet, sprzeciw wobec LGBT to nienawiść do osób homoseksualnych, głosowanie przeciw „Stop pedofilii” to poparcie pedofilii, krytyka narodowców to atak na naród.

W swej książce Donald Tusk pisze o „pasjonującym procesie tworzenia Europy wciąż na nowo, bo jak wiadomo, Europa nie ma swojej jednoznacznej definicji, nie jest czymś danym i rozstrzygniętym, niby trwa, a tak naprawdę staje się”. Nie wiem, czy Tusk jest w pełni świadom tego, co pisał, ale z całą pewnością świadomie (i z niezbędną „pasją”) wspiera tak zdefiniowaną politykę, będącą w istocie rewolucją wobec Europy – z jej tradycją i kulturą, narodami i państwami. Bardzo podobną rzecz mówił w Parlamencie Europejskim Guy Verhofstadt, komplementując irlandzkiego premiera, Leo Varadkara, który z pełną determinacją przeprowadził w swym kraju aborcyjną i homoseksualną rewolucję.

Skrupuły mogą być szkodliwe, ale znacznie bardziej szkodliwy jest brak skrupułów.

Nie rozumiem tego zamąconego kompleksami wzburzenia wokół Nobla dla Olgi Tokarczuk. Czy Niemcy po wyborze kardynała Ratzingera musieli wszyscy wyrażać zachwyt? Czy ludzi niemieckiej lewicy odpytywano, czy czytali jego książki? Poezji Herberta Nagroda im. Herdera nic nie dodała ani brak Nobla nic jej nie ujął. Gratulacje, po prostu!

The Crown pokazuje jedno, że choć monarchia – taka, jaka jest – w niewielkim stopniu pozostaje elementem cywilizacji chrześcijańskiej, jest ciągle niezwykle ważnym czynnikiem świadomości i więzi narodowej. Zasadniczy błąd w jej postrzeganiu polega na

przypisywaniu jej w pierwszym rządzie znaczenia politycznego, patrzenia na nią tak, jak widzimy demokracje czy dyktatury, w polu gry o władzę, wykonywania władzy, obrony przed władzą. Tymczasem jest to w pierwszym rządzie fenomen społeczny. Król nie tyle jest pierwszym urzędnikiem państwa (jak chciała go widzieć w swej pierwszej, „monarchistycznej”, fazie rewolucja francuska), ale to Dom Windsorów jest pierwszą brytyjską rodziną, która łączy wszystkich, jak rodzina właśnie. ■